

JAK ZADARA „DZIADY” PRZYWRÓCIŁ



MAGDA
PIEKARSKA

GAZETA
WYBORCZA

„Przywróć nam dziady!” – krzyczy Gustaw do Księdza w końcówce IV części wieńczącej 14-godzinny Mickiewiczowski maraton. I na widowni zrywają się brawa. Bo żądanie zostało zaspokojone – Michał Zadara nam wszystkim te „Dziady” przywrócił



Sam Michał Zadara (z prawej) mówił o „Dziadach” z dystansem: - To był zabawny dzień w teatrze

Tym, którzy „Dziadów” bez skrótów nie widzieli, odpowiadam: tak, byłam. Tak, wytrzymałam. Nie, nie zmrugałam oka na chwilę, chociaż pod koniec byłam już zmęczona. Nie przysnęłam nawet wtedy, kiedy Monika Bolly czytała długi i - do pewnego momentu - śmiertelnie nudny „Przeгляд wojsk”. A potem szybko zrozumiałam, jakim mistrzem suspensu jest Mickiewicz. Rozśmieszył mnie Guślarz Mariusza Kiljana w części II i zaskoczył ponownie spotkany pod koniec III. Poruszyli ludzie, których za sobą pociągnął na obrzęd. Wciąż dyskutuję w myślach z Konradem Bartosza Porczyka. Ubawił mnie przysypiający na bębnach Rafał Kronenberger. Zaniemówiłam z wrażenia, słysząc, jak dojrzałe 11-letnia Julia Leszkiewicz mówiła „Drogę do Rosji”. Wzruszyła mnie Marta Zięba w „Ustępie”. A także Anna Ilczuk, kiedy „Do przyjaciół Moskali” podała nam w wyciszonej, skupionej tonacji, kompletnie odmiennej od dosadności, z jaką podaje tekst w większości spektaklu. I tak, chętnie przeżyję to jeszcze raz, jeśli tylko teatr da mi na to szansę.

Gościniec tak długi

Tyle wiem po 14 godzinach spędzonych w teatrze. Ale w sobotę rano jest przecież inaczej. Na polach obok domu pofukują wrony. W lesie, jak na teatralnej scenie, zalegają stopy śmieci. A ja w kieszeni mam gorzycy dwa ziarnka dla Józia i dla Rozalki, w torbie „pączki, ciasta, mleczko i owoce, i jagódki” - już nie dla czystocowych duszeczek, ale dla pokrzepienia własnej kondycji. W głowie - silną wątpliwość, czy mimo prowiantu uda się ten maraton przetrwać. Bo przecież od sobotniego południa do niedzielnej nocy „gościniec jest arcydługi”.

Rzeczywiście, taki dystans nie jest rzeczą powszechną. Nie tylko w polskim teatrze. Prof. Mirosław Kocur, kulturoznawca, historyk teatru, pamięta wprawdzie dłuższe spektakle pokazywane w Indiach i w Japonii, ale w europejskiej tradycji takie maratony są rzadkością. Oglądałem przedstawienie Petera Steina na podstawie „Biosów” w Pireusie - wspomina. - Trwało około 13 godzin i było, niestety, słabe i nudne. Wiem też, że Robert Wilson w irańskim Shirazie wystawił kiedyś siedmiodniowy, trwający dzień i noc spektakl, w trakcie którego ludzie mdleli z odwodnienia, a i reżyser obudził się na intensywnej terapii.

Podczas wrocławskiego maratonu nikt nie zemdlął. A przysypiają-

Zaniemówiłam z wrażenia, słysząc, jak dojrzałe jedenastoletnia Julia Leszkiewicz mówiła „Drogę do Rosji”

cych można było policzyć na palcach. I był wśród nich sam reżyser, który już wcześniej zaznaczył, że sypia wyłącznie na dobrych spektaklach.

Stokrotnie częściej jednak niż pochrapywanie rozlegały się brawa i okrzyki. Kiedy w III części Żegota (Igor Kujawski) pyta współwięźniów: „Wy tu długo siedzicie?”, z widowni pada odpowiedź: „Cztery godziny”. Kiedy mniej więcej w połowie części IV, która rozpoczęła się już po północy, gaśnie świeca, a Gustaw (Bartosz Porczyk) mówi: „Jeszcze, jeszcze dwie godziny”, publiczność, mocno już zmęczona, wybucha śmiechem.

A choć część III została przez Michała Zadara zainscenizowana w historycznym kostiumie, bez aluzji do współczesnej rzeczywistości politycznej, publiczność szybko wychwytuje te ukryte w samym tekście. I przerywa brawami, np. kiedy jeden z literatów w scenie Salonu Warszawskiego utyskuje, że historia Cichowskiego to nie temat polski, narodowy.

W przerwie, przed „Ustępem”, w kolejce do toalety rozmawiam z reżyserką Agatą Dudą-Graciz: - Niesamowity spektakl, pokazuje nam, jaki to jest wielki tekst. I jest jak wyrzut

sumienia: bo dlaczego my tego Mickiewicza nie czytamy?

Nie czytamy i trudno się ludzi, że będziemy to robić na większą skalę, chociaż byli wśród publiczności i tacy widzowie, którzy - jak Beata Stasińska, wydawca - znali tekst na pamięć i mogli szeptem mówić go z aktorami. Tym większa radość, że mamy teatr, który daje nam szansę na taką zbiorową, pogłębianą lekturę.

Ta wyjątkowa energia unosiła się po obu stronach sceny. Małgorzata Gorol, która gra w spektaklu kilka ról, a podczas „Ustępu” oglądała kolegów z widowni, mówi: - Czuję niesamowitą dumę z nas wszystkich. Mam poczucie, że pokazaliśmy, że jesteśmy najlepszym zespołem teatralnym, jaki istnieje.

Konrad zdiera gardło

Po drugiej stronie nie obyło się bez ofiar. Po wymagającej Wielkiej Improwizacji Bartosza Porczyka zszedł ze sceny dosłownie mokry od potu. I miał zaledwie około trzech godzin, żeby zregenerować struny głosowe - ratował się m.in. tabletkami nawilżającymi i siemieniem lnianym. Ale podczas części IV jego Gustaw miał

coraz większe kłopoty z chrypką. Do tego stopnia, że musiał na moment wyjść z roli - jego bohater, który swoim szaleństwem przeraża Księdza (Wiesław Cichy), rzuca w pewnym momencie precz butelkę z piwem, żeby sięgnąć za kulisy po plastikowy kubek ze świeżo wyciśniętym sokiem z pomarańczy. Zwolennik przemysłowego treningu, opartego m.in. na zdrowej diecie, wziął górę nad bohaterem, któremu paliwa do tyrad dostarczał ogień płonący w piersi. Co przez widownię zostało przyjęte z wyrozumiałością i sympatią.

Straszliwa kara spotkała też - za grzechy scenicznego bohatera, nie własne - Edwina Petrykata, który grał Widmo złego pana w części II. W przerwie obiadowej Zły Pan, któremu sowy, puchacz, kruki z gardła wyrzywały pożywienie, mógł się wreszcie posilić - w położonej obok teatru restauracji Marche zjadł musakę. Z pewną taką ostrożnością, odkładając twarde części dania na bok. Bo żarłoczny, animowany kruk, który wyszarpywał Widmu jadło z ust, podczas spektaklu złał aktorowi jedynkę.

- Tak już jest z „Dziadami”, że coś, co zdarzyć się nie powinno, dzieje się na naszych oczach - mówi aktor. - I to są zarówno rzeczy dobre, jak i złe.

Edwin Petrykat ma do maratonu „Dziadów” osobisty stosunek. Ten sentyment odzywa się, już kiedy patrzy na plakat towarzyszący tej wyjątkowej produkcji. - Prawdopodobnie jestem gdzieś na tym zdjęciu - mówi, wskazując na fotografię wykonaną przez jednego z funkcjonariuszy Służby Bezpieczeństwa 8 marca 1968 r. o godz. 12.11 przed Uniwersytetem Warszawskim na Krakowskim Przedmieściu. Na niej ujęcie studenckich protestów po zdjęciu „Dziadów” Kazimierza Dejmka z afisza Teatru Narodowego.

- Miałem 22 lata i studiowałem w warszawskiej szkole teatralnej - wspomina Edwin Petrykat. - Nie oglądałem ostatniego spektaklu „Dziadów”, ale jeden z poprzednich. I kiedy przez okno akademika zobaczyłem 30 stycznia manifestację, zszedłem po prostu na dół, żeby spraw-

dzić, o co chodzi. A kiedy dowiedziałem się, że o „Dziady”, włączyłem się w ten ruch. 8 marca na Krakowskim Przedmieściu pojawiłem się przed godz. 12, potem tłum zaczął gęstnieć. A później pojawiły się autobusy, tzw. ogórki, z wywieszką „wycieczka” na szybie. I zaczęło się - okazało się, że musieliśmy uciekać nie tylko przed zomowcami, ale i przed przedstawicielami tzw. aktywu robotniczego wyposażonego w drewniane pałki. Mnie się udało, ale Staszka Celińska przybiegła do szkoły potwornie skatowana. Te obrazy wciąż we mnie mocno siedzą. Nawet tuż przed premierą, rano, oglądałem zdjęcia z tych demonstracji. Szukam tam siebie wciąż, bezskutecznie. Widzę chłopaka z papierosem - może to ja? Ale minęło tyle czasu, 48 lat, że niczego już nie jestem pewny.

Jak dla mnie - za krótko

„Dziadom” Anno Domini 2016 też towarzyszy walka - o zachowanie teatru w dotychczasowym kształcie. Widzowie maratonu podpisywali petycję do marszałka wystawioną w holu - o odstąpienie od konkursowej procedury i przedłużenie umowy obecnemu dyrektorowi Krzysztofowi Mieszkowskiemu. Spektakl Michała Zadary to kolejny, bardzo mocny dowód, że w obecnym kształcie Polski to absolutna teatralna ekstraklasa. Szkoda byłoby pochopnymi zmianami doprowadzić tę scenę do spadku do niższej ligi. Szkoda też, że żaden z polityków i urzędników nie pofatygował się, żeby sprawdzić, z jakim fenomenem ma do czynienia. Ci, którzy byli w sobotę w teatrze, wiedzą doskonale, jaka to byłaby wielka strata.

- Wzruszenie i ekscytacja - podsumowała swoje wrażenia po spektaklu Agnieszka Wolny-Hamkało. O doświadczeniu wspólnotowym mówiła Dorota Monkiewicz (Muzeum Współczesne Wrocław), o wzruszającym przeżyciu - muzyk Michał Litwiniec. Dr Milan Lesiak, teatrolog z Uniwersytetu Wrocławskiego, mówił, że dziś może powiedzieć, że to najważniejszy spektakl, jaki w życiu widział. - Klękam przed talentem Michała Zadary i całego zespołu - powiedział. Piotr Krajewski (WRO) nie krył zaskoczenia tym, jak żywy, odsłaniający nowe pokłady sensów okazał się tekst Adama Mickiewicza. A Marcin Hamkało (Międzynarodowy Festiwal Opowiadania) podsumował: - Dla mnie było za krótko.

Sam Michał Zadara mówił o „Dziadach” bez skrótów z dystansem: - To był zabawny dzień w teatrze. A dzięki liczącemu setkę osób zespołowi maratonu, dodał przewrotnie: - Cieszę się, że „Dziady” zostały wreszcie wystawione w całości i że nikt już tego nie będzie musiał robić. Chociaż może byłoby dobrze, gdyby ten polski arcydramat raz na pięć lat dostawał się w ręce kolejnych reżyserów.

Z tym w teatrze publicznym może być trudno - wystawienie „Dziadów” w całości kosztowało 1,2 mln zł. Ale Michał Zadara z pewnością nas jeszcze zaskoczy - po tym, jak udowodnił niedowiarkom, że „Dziady” bez skrótów mają sens, zamierza zabrać się do inscenizacji „Biblii”. Bez skrótów i... dla dzieci. ◊